

PAŃSTWOWY TEATR  
im. Aleksandra Węgiecki w Białymstoku

---

Dyrektor: WITOLD RÓŻYCKI

Kierownik Artystyczny: EUGENIUSZ POREDA

Kierownik Literacki: LECH PIOTROWSKI

Rok 1954

**PROGRAM**

---

Z. Skowroński i J. Słotwiński

# IMIENINY PANA DYREKTORA

Komediofarsa w 3-ch aktach

## O S O B Y:

Leon Puchalski — dyrektor fabryki płyt gramofonowych . . . . .	<i>Adam Cyprian</i>
Maria Puchalska — jego żona . . . . .	<i>Witolda Czerniawska</i>
Magda — ich córka . . . . .	<i>Danuta Szumowiczówna</i>
Poldek — kuzyn dyrektora . . . . .	<i>Tadeusz Kozłowski</i>
Andrzej Rachwał — inżynier fabryczny, narzeczoną Magdy . . . . .	<i>Tytus Wilski</i>
Hipolit Dobek — naczelnik wydziału . . . . .	<i>Józef Czerniawski</i>
Zuzia — sekretarka dyrektora . . . . .	<i>Barbara Bardzka</i>
Lubowiecki — starszy radca . . . . .	<i>Władysław Szumowicz</i>
Karwowska — urzędniczka, stara panna . . . . .	<i>Rena Kuszczycowa</i>
Naczelnik . . . . .	<i>Władysław Karwicz</i>
Urzędniczka . . . . .	<i>Urszula Gryglewska</i>
Więckowski — woźny . . . . .	<i>Edward Laskowski</i>
Naczelny Dyrektor . . . . .	<i>Edward Gudowski</i>
Dębicki — starszy inspektor . . . . .	<i>Fabian Kiebiec</i>
Kalita — inspektor . . . . .	<i>Stanisław Halski</i>

Rzecz dzieje się współcześnie, w mieście powiatowym

Reżyseria: **Karol Borowski**

Scenografia: **Stanisław Cegielski**

Inspicjent: *Jan Bąk*

Brygadier: *Józef Kościuczyk*

Oświetlenie: *Wacław Cyrulik*

Początek przedstawienia o godz. 19-tej.





Wszyscy spragnieni jesteście komedii. Z niecierpliwością czekamy na każdą jej nową zapowiedź w planach teatralnych. Kiedy rozchodzi się wieść, że zjawił się nowy film komediowy — szturmujemy wszyscy kasy kin z zapalem godnym nieraz lepszej sprawy... do załatwienia. Wybaczamy z ochotą błędy i niedociągnięcia tym autorom dramatycznym, którzy w swoich utworach choćby mimochodem zdradzili poczucie humoru. W dramatach historycznych zdarza się to rzadko, a do ostatniej chwili — one to miały reprezentować na naszych scenach dramaturgię współczesną. Co wieczór zapełniamy widownię coraz liczniejszych teatrów satyrycznych, zadawalając się pięciominutowymi skeczami i czekając z niecierpliwością, aż — obok nich — zjawiać się zaczynają rzeczy o szerszym oddechu. Skracamy sobie czas czytając wyczerpująco opracowane artykuły o potrzebie humoru i satyry, o tym, że nasza epoka daje nie mniej ale właśnie więcej możliwości rozwoju tym dziedzinom dramaturgii i teatru, które kwitnęły w epokach klasycznych. Dowiadujemy się z zazdrością o nowych triumfach „Łaźni“ Majakowskiego w Moskwie, o licznych komediach pisanych przez wybitnych dramaturgów radzieckich. Walimy hurmem na wznowie-  
nia starego Fredry.

— Nic w tym dziwnego. Mamy do tego prawo. Któż ma więcej prawa do radości, do śmiechu, do optymizmu? Widzimy przed sobą jasno drogę przyszłości, sami ją budujemy, jesteśmy w naszym kraju gospodarzami życia, wiemy, że tylko od nas zależy, aby było sprawiedliwe, pełne sensu, coraz bogatsze. I wesołe. Czas jest naszym sprzymierzeńcem. Nie my mamy powody, aby obawiać się przyszłości, nie grożą już nam w niej te wszystkie klęski, które były udziałem prostego człowieka w świecie wyzysku. Wiemy też, że nic nam samo nie przyjdzie, że mamy wrogów, że nie trzeba ich daleko szukać, ba, że w wielu z nas coś jeszcze z ich dziedzictwa, z ich przekonań i podszeptów zostało. Ale tym bardziej potrzebny nam jest śmiech. To dobry sprzymierzeniec w walce. „Śmiech — powiada wielki Gogol — to potężna rzecz: nie pozbawia nikogo życia ani mienia, ale w jego obliczu grzesznik czuje się jak spętany zając“. I dalej: „śmiejąc się, człowiek równocześnie mimo woli ogląda się, uświadamiając

sobie, czy też wyczuwając, że bardzo jest bliski tego, z czego się śmieje i że powinien stale czuć, ażeby zło nie zdołało się wkraść do jego własnej duszy".

Miejmy nadzieję, że do historii przeszedł już ten z naszych dygnitarzy, który oświadczył przed kilku laty z całą powagą: „Żart nie może być śmieszny, bo to oręż w walce...“ Już wiadomo, że żart jest wyborną i ostrą bronią. Naszą bronią. Nasi wrogowie są groźni i śmieszni zarazem, bo podnoszą rękę na przyszłość — tak, czy inaczej — nieuchronną.

Często jednak zapominamy, że radość i śmiech, zwłaszcza w teatrze, to nasi naturalni sprzymierzeńcy, nawet wtedy, gdy nie chodzi o tzw. satyrę chłoszczącą. Wiemy dobrze, ile szkody potrafi narobić sławetna „teoria bezkonfliktowości“, zaprzeczająca istnieniu w społeczeństwie socjalistycznym ostrych starć z prawdziwymi wrogami — obłudnikami, złośliwymi durniami, biurokratami, obrońcami wszelkiej starzyzny, lizusami, sztywniakami, koltunami i jak im tam jeszcze. To już wiemy. Wiemy, że nie trzeba czekać z ich tępieniem środkami satyry aż do chwili, gdy czas się z nimi załatwi. Trzeba ich bić od razu i na każdym kroku. Stąd z rozczarowaniem przyjmujemy te komedie i skecze, których autorzy i wykonawcy udają, że tych niebezpieczeństw u nas nie ma, albo, że są to niebezpieczeństwa pozorne. Z drugiej jednak strony strzec się musimy zaciętego ponuractwa w satyrycznej walce. I to nam grozi. Nie docenia się u nas tego faktu, że humor zawsze jest sojusznikiem słuszności i sprawiedliwości. Nawet humor niefrasobliwy. Fryderyk Engels pisał o robotnikach niemieckich, że „walkę prowadzili przeważnie z humorem, który jest najlepszym dowodem ich wiary w swoją sprawę i świadomości własnej przewagi“.

Jak widać więc, o to chodzi w sprawie naszych nowych komedii, by ich autorzy nie bali się ani ostrych konfliktów, ani wesołego żartu. Łatwo to powiedzieć, ale wszyscy wiemy jak trudna to sprawa. Chociaż tradycje komedii polskiej są świetne, choć mieliśmy genialną Zapolską, która demaskowała koltuna z całą świadomością przewagi dowcipu — to jednak ani międzywojenne dwudziestolecie, ani pierwszy okres po wojnie nie dał nam pocieszających przykładów kontynuacji tych tradycji. Nasze komediopisarstwo przedostatnich lat opanował zabójczy schemat mieszczańskiej szmiry, która próbowała grasować nawet na ludowych scenach właśnie w dziedzinie tzw. lekkiego repertuaru. Wszyscy mamy w pamięci przykłady. Humorek ułatwiony, pseudoludowa trywialność, hałaśliwe wyglupy — wszystko to miało wspólny mianownik w starej mieszczańskiej sztampie, oderwanej od życia, operującej wyświechtanymi „chwytami“. Dłate-

go właśnie nadzieję budzić mogła każda rzecz — choćby naiwna, choćby jeszcze nieporadna, ale apelująca do nowych radości i trosk naszego widza. Jeśli błędy jej nie płynęły z konserwatyzmu — to budziły tylko chęć pomocy.

Pierwsza komedia Skowrońskiego i Słotwińskiego „Dwa tygodnie w raju“ była niefrasobliwym wodewilem. Przyznajemy — nie widać w niej jeszcze było ani szerszych ambicji, ani opanowania arkanów sceny, ani jakiegoś bojowego nowatorstwa. Miała za to prościutki wdzięk, był w niej jakiś oddech współczesności; wszystko to było może naiwne, ale niefałszowane, własne nasze. Brak rutyny był zarazem brakiem sztampy. Sukces tego wodewilu dowiódł, że można i trzeba mieć nadzieję na dalszy rozwój tej autorskiej pary.

„Imieniny pana dyrektora“ te nadzieje, jak się zdaje, potwierdzają. Jest to komedia napisana sprawnie i zjawily się w niej takie momenty, które stanowią wcale solidny probierz dla dodatków przewidywań. Zarówno zróżnicowany język bohaterów, jak dowcip, jak wdzięk dialogu, jak prosty, lecz wcale życiowy i zabawny konflikt — wszystko to każe wyznawcom komedii w teatrze cieszyć się, że Skowroński i Słotwiński coraz sprawniej władają wspólnym swoim piórem, iż coraz lepiej wiedzą, że społeczne zamówienie na śmiech, satyrę, dowcip — jest jednym z najpoważniejszych i najpilniejszych żądań naszego czasu.

